

Stefan Świąciak – WSPOMNIENIA Z OKRESU WOJNY

Urodziłem się w Leśniowie, gdzie i z kilkuletnią przerwą mieszkam do tej pory. Nieduża odległość Żarek od granicy z Niemcami sprawiła, iż działania wojenne na tym terenie rozpoczęły się już drugiego września 1939 roku. Była to sobota, jak się później okazało Hitler wojny z poszczególnymi krajami rozpoczynał zawsze w piątki.

Przez Żarki już od kilku dni przejeżdżały kolumny wozów konnych z uciekającymi w głąb kraju mieszkańcami miejscowości przygranicznych. Dnia drugiego września również moi rodzice szykowali się do ucieczki w kierunku Niegowej. W godzinach południowych wysłali dzieci z inwentarzem w pole na „Półanek” znajdujący się przy obecnej ulicy Niegowskiej, gdzie mieli czekać na rodziców i resztę rodzeństwa. Po sąsiedzku na podwórkach Aleksandra Labochy i Stanisława Szpaka w cieniu owocowych drzew zatrzymali się na posiłek uciekający mieszkańcy Gniazdowa. W tłumie cywilnej ludności znalazło się dwóch umundurowanych żołnierzy polskich.

Okolo godziny piętnastej nad naszym podwórkiem pojawiły się samoloty niemieckie i zrzucając trzy bomby na zgromadzoną ludność cywilną zostało zabitych dwudziestu dziewięciu mieszkańców Gniazdowa i czterech mieszkańców Leśniowa (Antonina Królik – lat 45, Franciszka Podlejska – zwłok nie odnaleziono, Piotr Rosik – lat 22 i Janina Pompa – lat 17).

Nalot niemiecki zaskoczył moją rodzinę na podwórku w trakcie pakowania najpotrzebniejszych rzeczy na wóz. Chwilowe schronienie znaleźliśmy w piwnicy. Zaczęły płonąć wszystkie budynki mieszkalne i zabudowania gospodarcze nasze i sąsiadów. Mama Rozalia wraz z moją najstarszą siostrą Marią pobiegły do płonącego domu, gdzie pozostała trzyletnia siostra Stanisława. Zaś brat Stanisław wyprowadził konia z płonącej stajni, którego niestety nie zdążył

zaprzęgnąć do nie zajętego jeszcze ogniem wozu. W tym czasie nieoczekiwanie na podwórku pojawił się polski żołnierz, który pomimo rozpaczliwych próśb ojca zabrał konia i odjechał na nim w kierunku targowiska.

Podczas ratowania dobytku z płonącego domu poparzeń doznała siostra Maria. Dom i stodoła były drewniane, a budynki gospodarcze wraz z jedną izbą mieszkalną – murowane. Całe gospodarstwo w ciągu kilkunastu minut spłonęło doszczętnie, z wyjątkiem piwnicy i jednego kufra zabranego z płonącego wozu i wrzuconego do studni. Brak jakiegokolwiek akcji ratunkowej spowodował rozprzestrzenienie się pustoszącego i pochłaniającego wszystko ognia. Z gospodarstwa moich rodziców pozostał tylko popiół. Spaliły się nawet legary pod podłogą w pomieszczeniu mieszkalnym murowanego budynku gospodarczego. Spłonęły także sąsiadujące z nami gospodarstwa, tj. od strony Leśniowa gospodarstwo Aleksandra Labochy, od strony Żarek Romana Szpaka i Józefa Pompy. Z pobliskiego klasztoru przybyli ojcowie Paulini i udzielali pomocy medycznej i ostatniego namaszczenia umierającym. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pomimo całkowitego spalenia gospodarstwa wraz z dobytkiem, cała nasza rodzina przeżyła.

Zabrany przez polskiego żołnierza koń po niedługim czasie mu uciekł i powrócił na podwórko i służył nam do 1944 roku. Wieczorem drugiego września tymże koniem i pożyczonym od OO. Paulinów wozem ojciec zabrał całą rodzinę i ruszyliśmy w kierunku Niegowej celem oddalenia się od bombardowanych Żarek. Tego dnia Leśniów opuścili również nowicjusze OO. Paulinów.

Noc z soboty na niedzielę, z drugiego na trzeciego września spędziliśmy w zagajniku w okolicach „Czarnego Kamienia”. Tam tata podjął decyzję o zaniechaniu dalszej ucieczki i w niedzielę powróciliśmy do Leśniowa. Zamieszkaliśmy u brata ojca – Karola.

W poniedziałek czwartego września tata z mamą udali się do Żarek do swojego brata Ludwika (w domu tym obecnie mieszka rodzina Pętaków), by zawieźć na

cmentarz ciało zmarłego Marcina Kołodziejczyka – uciekiniera z Kozięglów, który z powodu choroby zatrzymał się na spoczynek u wujka i zmarł. Pochówek zaplanowano na niedzielę, lecz brat taty Ludwik nie otrzymał od Niemców pozwolenia na pogrzeb. Wobec powyższego, pogrzeb miał się odbyć w poniedziałek. Niestety około godziny szesnastej Niemcy całą rodzinę Świąciaków i sąsiadów postawili pod murem, jednak nie rozstrzelali ich, tylko zmusili do ucieczki w kierunku „Parchowatki”, a dom podpalili. Stojący w bramie przejazdowej domu pożyczony od OO. Paulinów wóz z trumną i ciałem Marcina Kołodziejczyka spłonął wraz z domem. Spłonęło całe gospodarstwo wujka Ludwika, tj. dom, obora i szopa ze zbożem, została im tylko stodoła ze słomą, która do dnia dzisiejszego stoi na Targowicy. Z inwentarza wujka została tylko jedna krowa, nie wiadomo czy się urwała czy ją ktoś spuścił. Druga krowa, wieprzek i pies spaliły się żywcem wraz z zabudowaniami.

Tak więc już drugiego dnia wojny cała rodzina została niemalże boso – dosłownie i w przenośni – gdyż zostali tylko z tym co mieli na sobie.

Brat Władysław zimę z 1939 na 1940 rok przechodził w spodniach uszytych z wojskowego brezentu, który pochodził z ekwipunku rozbitych wojsk pod Janowem. Jak później wspominał, spodnie były nawet wygodne, tylko jak namokły to sztywniały i trudno było zgiąć kolana.

Nie mieliśmy dachu nad głową i jedzenia, a chleb piekliśmy z mąki z przypalonego podczas pożaru zboża. Ojciec razem ze starszymi braćmi zabrali się do przykrycia obory, żeby można było przezimować ocalałe zwierzęta. Przy oborze odbudowali również pomieszczenie mieszkalne o wymiarach 4x4 metra, które przez całą wojnę służyło całej rodzinie jako mieszkanie. Jedna izba o powierzchni 16 metrów kwadratowych dla 9 – cio osobowej rodziny była za mała. Rodzice podjęli decyzję o wysłaniu jednej siostry do ciotki w Choroni, a drugiej na Nową Wieś, gdzie spędziły całą zimę.

Ojciec wraz z braćmi Władysławem i Stanisławem zaczęli łamać kamień na Pimpisze, aby odbudować zniszczoną stodołę i oborę. W lecie starsi bracia spali

na strychu, ale gdy przyszła zima przenieśli się do obory. W takich warunkach przetrwali całą wojnę.

Najstarszy brat Władysław podobnie jak przed wojną, ryzykując życiem zarabiał na utrzymanie rodziny wożąc Żydów, do pobliskich wsi po żywność.

W 1941 roku w Żarkach wybuchła epidemia tyfusu. Intratnym finansowo zajęciem dla Władysława, aczkolwiek bardzo niebezpiecznym ze względu na możliwość zarażenia się, było wożenie konno chorych do szpitala do Częstochowy, która podobnie jak Żarki należała do Generalnej Guberni. Wówczas w Myszkowie nie było szpitala, a Zawiercie należało do Trzeciej Rzeszy. W tym samym roku panował w Żarkach wielki głód i nie było problemu ze znalezieniem murarzy do pracy tylko za wyżywienie, a wielu mieszkańców Żarek i okolic wyjeżdżało ochotniczo do pracy do Niemiec.

Na domiar złego najstarsza siostra Maria w lutym 1942 roku została wysłana na przymusowe roboty do Rzeszy, a brat Stanisław wraz całym swym rocznikiem w 1943 roku został powołany do tzw. Junaków. Pracowali oni przy naprawie torów z Częstochowy do Kielc. W soboty wieczorem, wszyscy pieszo wracali do domu po chleb, dlatego matki piekły takie bochenki, żeby wystarczyły na cały tydzień. W sierpniu 1944 roku wraz z całą brygadą Junaków został przeniesiony z Częstochowy do Przedborza, skąd podając fałszywe nazwisko zbiegł i powrócił do domu, gdzie ukrywał się do końca wojny.

W lecie 1944 roku Niemcy rozpoczęli budowę umocnień wojennych na „Parchowatce”. Z Leśniowa na „Parchowatkę” zbudowali kolejkę wąskotorową do transportu materiałów budowlanych. Jako dzieci mieliśmy zabawę, zjeżdżając pustymi wagonikami z góry.

W skutek szczególnie ciężkich warunków mieszkaniowych cała nasza rodzina podupadała na zdrowiu, czego skutki i ja odczuwam do dnia dzisiejszego. Rok 1945, który kojarzy się wszystkim z końcem wojny był dla nas wyjątkowo ciężki. Siedemnastego stycznia, rosyjscy żołnierze przetrzymali mojego ojca całą noc na mrozie, w skutek czego w Wielki Piątek dnia trzydziestego marca ojciec zmarł. Dla mnie było to szczególnie ciężkie przeżycie. Następnie, osiemnastego kwietnia

obydwaj bracia Władysław, Stanisław i kuzyn Bronek, syn Karola u którego po spalenie w 1939 r mieszkaliśmy, zostali powołani do wojska. Mimo to, Stanisław nie poszedł, gdyż uzyskał odroczenie. To uratowało mnie i mojemu rodzeństwu życie, bo ojca już nie było ja miałem dopiero 13 lat i nie byłem w stanie zaopiekować się rodziną i obrobić gospodarstwa.

W taki sposób moja rodzina dotrwała do końca wojny, który niestety nie był kresem naszych zmartwień, ponieważ Polska uwolniwszy się od okupacji nazistowskich Niemiec wpadła w objęcia „Kraju Rad” – Związku Radzieckiego.

Na kilka dni przed zakończeniem służby wojskowej kuzyn Bronisław Świąciak dnia 25 kwietnia 1947 roku został zastrzelony przez bandy UPA pod Hrubieszowem.

Jesienią 1952 roku zostałem powołany do Ludowego Wojska Polskiego gdzie przez całą zimę chodziłem w dziurawych butach. W ten czas najwyższy stopniem żołnierz mówiący po polsku, to porucznik. Wyższa rangą kadra mówiła po rosyjsku lub łamaną polszczyzną. Pomimo spolszczonych nazwisk, doskonale wiedzieliśmy z kim mamy do czynienia.

W tym miejscu chciałbym podziękować wszystkim osobom zaangażowanym w produkcję filmu i upamiętnianie historii Żarek.

Bo jak powiedział Józef Piłsudski: *„Ten kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, nie jest godzien szacunku, ani prawa do przyszłości”*.

DZIĘKUJĘ BARDZO.